

Stado – 4 – Tło

11 listopada 2010

„To ja stworzyłem system czterech stanów, stosownie do ich właściwości i obowiązków. Wiedz, że chociaż jestem jego stwórcą, pozostaję niezmiennie bezczynny”

Bhagawadgita IV – 13

– Panie Harper – delikatny, czyściutki facecik w eleganckich, złożonych okularach i porządnie skrojonym, szarym garniturze, wydawał się być śmiertelnie znudzony. – Mówię panu jeszcze raz, że nie ma się pan czego obawiać. Naprawdę.

– Tak, tak, rozumiem – Harperowi zaczynała drgać nerwowo powieka. – To, że panowie natychmiast dowiedzieliście się o istnieniu tej kasety i całej sprawie, świadczy bardzo, ale to bardzo źle o moich wszawych technikach oraz ich pozasłużbowych powiązaniach. Z drugiej strony dobrze o waszej, jakżeż przecież potrzebnej w kraju e... Firmie, starającej się kontrolować wszystko, nawet porządną sieć TV.

– Zwłaszcza porządną sieć TV, proszę pana – odezwał się niedbale drugi z niespodziewanych gości Harpera, milczący dotąd drągał o kwadratowej twarzy, rozwalony nonszalancko na jego najlepszym fotelu i podziwiający dawno nie odświeżany sufit pokoju gościnnego. Aż dziw że nie dłubał w nosie tymi swoimi grubymi paluchami. To on zadzwonił wieczorem do drzwi Harpera, kończącego właśnie ostatnie zdania najnowszej, upiornej jak zwykle powieści Kinga i to on wszedł pierwszy, rozglądając się wokół czujnie jak tygrys. Jakby Harper miał za chwilę wyciągnąć zza pazuchy mały miotacz przeciwpancerny. Mimo wszystko zrozumiał sarkazm gospodarza.

– Tak? No cóż, niech i tak będzie – Harper starał się nie wypaść na aroganckiego idiotę i zignorował cyniczną uwagę osiłka.

– Przyznacie panowie jednak, jeśli już angażujecie się w to

gówny, to po co wam jakiś niezorientowany w waszych metodach, niesprawny fizycznie, zabiegany facet, zwłaszcza, że jak mówicie, mogą się podczas pokazu zdarzyć różne nieoczekiwane i kto wie, nieprzyjemne rzeczy?

– Proszę pana – nalegał starszy elegancik. – Chyba pan rozumie, że po to byśmy byli skutecznymi, musimy być obecni praktycznie wszędzie a to oznacza ogromną liczbę potrzebnych źródeł, przepraszam, informatorów, możliwie pewnych. I proszę mi wierzyć, nie ma tu zastosowania jakakolwiek moralność czy jej brak. Państwo jako takie nie posiada moralności, co oczywiście nie oznacza że jest z natury niemoralne. W tej konkretnej sprawie ilość dostępnych źródeł została nam narzucona przez autorów tej... sensacji.

– Jak to?

– Po prostu. Dysponujemy tylko tym co zdołaliśmy przechw..., co otrzymaliśmy od podobnych panu.

– Na razie – z głębi fotela odszczeknął się niedbale zapaśnik.

– Ale przecież nic wam jeszcze nie przekazałem – Harper udał idiotę.

– No właśnie! – podkreślił surowo cham z fotela.

Elegancik spojrzał na niego ostro i ten zamknął się już wreszcie na dobre.

– W związku z tym, nie mając czasu na sprawdzanie ich jakości, musimy wykorzystać maksymalnie to co mamy. Tak więc przykro mi, ale pańska odmowa nie wchodzi w rachubę. Co do zagrożenia to proszę się nie obawiać – nasi analitycy ocenili, że dla uczestników pokazu żadnego niebezpieczeństwa nie ma – co najwyżej może się pan przeziębic biorąc udział w przedstawieniu organizowanym jak się wydaje na wolnym powietrzu. Jak pan widzi jestem szczery, przyznając się do jednej z kilku niewiadomych w tej sprawie. Żeby uspokoić pana

całkowicie, powiem tylko, że wśród sześciu osób pańskiej ekipy telewizyjnej, której skład techniczny ustalił zdalnie autor imprezy, dwie to będą nasi ludzie, zaopatrzeni odpowiednio na wszelki wypadek. Podobnie rzecz się ma w przypadku innych zaproszonych ekip i gości. Z wyjątkiem... senatora Malesk'y, ale to odrębna sprawa.

– W porządku, przekonał mnie pan – Harper westchnął ciężko, przygnieciony potoczystością i przekonującym, spokojnym tonem wywodów elegancika oraz jego szczegółową wiedzą na temat sprawy. – Rozumiem jak, nie pojmuję jednak dlaczego? Dlaczego tak poważne służby państwowe – tu skłonił się lekko – tak bardzo angażują się w tę niepewną i pachnącą raczej cyrkiem aferę? Co macie do ochrony, jakich spodziewacie się zagrożeń i tak naprawdę to o co tu chodzi?

– Panie Harper – elegancik w dalszym ciągu popisywał się niezmaconą, cierpliwą kurtuazją. – Chyba nie sądzi pan, że kiedykolwiek, jakiegokolwiek państwo na świecie, mogło sobie pozwolić na lekceważenie choćby cienia zagrożenia, również wewnętrznego, czasem niestety trudniej wykrywalnego? Nawet pan sobie nie wyobraża jak banalne z pozoru fakty czy procesy rozwijają się nieoczekiwanie w bardzo niepożądanym z naszego, a niech mi pan wierzy, że i pańskiego punktu widzenia, kierunku. A w tym przypadku mamy do czynienia z zagrożeniem ewidentnym i nie będę tego tematu rozwijał, sam się pan pewnie prędzej czy później domyśli o co konkretnie chodzi. Ponieważ takich kaset jak pańska mamy troszkę więcej, możemy też i więcej powiedzieć o wiarygodności tego, jak się pan wyraził, cyrku i jego prawie pewnych następstwach, zwłaszcza, że pracują dla nas najlepsi z najlepszych. W związku z powyższym, jeszcze raz proszę pana o całkowity spokój – niech się pan zachowuje dokładnie tak jak sobie tego życzą autorzy przedstawienia. Zwłaszcza, że również chodzi o wielkie pieniądze, co już nie jest naszym problemem i jak sądzę w tej akurat kwestii może pan zupełnie nie mieć żadnych obaw ani obiekcji natury, dajmy na to moralnej czy prawnej. No i

oczywiście dyskrekcja, ale akurat na to nie muszę nalegać, prawda?

– Rozumie się.

Mimo wszystko Harper nie pojmował skąd takie aktywne zainteresowanie sprawą, wydawałoby się w końcu czysto techniczną, choćby o największym kalibrze. Chyba, że chodzi o wymieniane w przesyłkach sumy? Ale nie. Facet w okularach, jak mu tam, Koen, czego nie omieszkiał dokładnie sprawdzić w podsuniętej legitymacji służbowej, wydaje się być szczery i otwarty. Powiedział przecież, że finanse ich nie interesują. W końcu Ronson, kimkolwiek by nie był, jest Amerykaninem i jego wynalazki mogą tylko wyjść krajowi na dobre, mimo, iż najwyraźniej chce na nich zarobić Bóg wie ile. Jeżeli oczywiście nie jest to jakaś totalna bzdura. Harper nie był przeciwny wynalazkom i nawet sam ulepszył kiedyś dziurkacz biurowy, jednak tylko teoretycznie i kompletnie bez korzyści materialnych. Rozumiał, tak mu się przynajmniej wydawało, ludzi myśli, postępu, oraz był w stanie wyobrazić sobie niektóre kłopoty Ronsona, zwłaszcza gdy chodzi o w końcu tak ważne, na co wygląda, urządzenia.

Ach tak! Armia. Chodzi pewnie o zabezpieczenie jego pracy przed ruskimi czy innymi wszarzami. No jasne! Pamiętał przecież o wielkiej aferze gdy kilka lat temu, po emisji niezłego i ciekawego programu o faunie antarktycznej, realizowanego na osobiste zlecenie Cornicka, zapalonego miłośnika pingwinów, służby nasłuchowe Sieci nagrały dokładnie ten sam program, tyle, że z inną czołówką i z innym komentarzem, emitowany z Ostankino. Oczywiście po rosyjsku. Nie była to rzecz jasna prosta kopia antenowa ze zmienioną fonią i napisami. Oni zdobyli materiał wyjściowy tu, w Sieci. Zdobyli! Ukradli łobuzy i po drobiazgowym śledztwie ustalono komu i jak. Facet, ofiara kradzieży, mały, cwany redaktorek, już oczywiście nie pracuje w branży i dobrze mu tak, choć beznadziejnie rozbudowany dział prawny Firmy do tej pory ma co robić z formalnymi konsekwencjami tej afery. A co dopiero

mówić w przypadku takich rewelacji technicznych jakie oglądał na nadesłanej mu kasecie.

– Wszystko w porządku panie... Koen – Harper wyciągnął rękę. – Zastosuję się w pełni. Oczekuję teraz tylko na telefon od Ronsona informujący o miejscu imprezy. Czy zawiadomić panów?

– Nie nie, dziękujemy. Jakoś sobie poradzimy.

– Jak zawsze proszę pana – nie wytrzymał bokser, najwyraźniej nowy, niesprawdzony rzetelnie pracownik tajemniczej instytucji. Jednak chyba nie dociągnie tam do emerytury. A może nawet i do końca miesiąca?

Pożegnali się z Koenem jak starzy znajomi. Harper nie był zachwycony tą wizytą, jednak zrozumiał jej sens i potrzebę. Jeżeli, jak wszystko na to wskazuje, Ronson zbudował prezentowane na filmie urządzenia, a potwierdza to Koen i ten jego byczy koleś, to jest się o co martwić. No cóż, jedyne czego od niego żądał to pojawienia się czwartego października po południu w nieznanym jeszcze miejscu z ekipą telewizyjną, przygotowaną do realizacji godzinnego, bezpośredniego reportażu z prezentacji dziwów technicznych, a następnie spowodowanie również zapowiedzianej, ponownej emisji tego materiału najpóźniej następnego dnia. W dobrych, ba, w najlepszych godzinach oglądalności. Nie ma problemu. Ronson uprzedził co prawda, że konkurencja będzie robić to samo ale pogoni się chłopców i wyprzedzi tych dziadów przynajmniej o godzinę przy emisji powtórnej. Susan już opracowuje z najlepszym zespołem sugestywny zwiastun programów. Cornick nie musi o niczym wiedzieć, zresztą nigdy nie wtrąca się do repertuaru i większości tym podobnych spraw. Wie dobrze, że dzięki Harperowi i jego ludziom Sieć od lat ma najlepszą markę a co za tym idzie dochody. Zresztą poleciał wczoraj do Europy na jakiś drętwy spęd.

Po kolacji, nie czekając na balującą pewnie gdzieś na jakiejś charytatywnej szopce, udzielającą się społecznie małżonkę,

uspokojony już nieco, rozebrał się, wykąpał i zmęczony wrażeniami, położył do zimnego łóżka. Odruchowo włączył telewizor i trafił akurat na prognozę pogody serwowaną przez jego własną stację. Boże drogi! Znowu ta tępa Grey, wdziecząc się do kamery jak głupi do mydła ubolewa ze łzami w oczach, że jutro, ach, ach, niestety, chyba znowu będzie padać. Znów pewnie jakiś francowaty pudelek będzie musiał spacerować pod troskliwą parasolką swojej kochanińskiej pani. Łapki sobie zmoczy. Ach! A może się nie daj Boże przeziębi i fiknie na zapalenie wrażliwych płuczek? Ach, ach!

– Ty głupia cholero! – Harper nie wytrzymał i wydarł się bez sensu na niewinny odbiornik.

Ciągle nie mógł pojąć, jak można być taką tępota i nie rozumieć dziecinnie prostej zasady, że wszystko, dokładnie wszystko, jest względne. Zwłaszcza pogoda. Jednemu w danej chwili odpowiada słońce i nieustający upał, bo akurat jest zdrowym, znudzonym młodym bykiem i szłaja się bez celu po plaży, zaglądając wylegającym się panienkom w ledwie osłonięte krocza, drugiemu odpowiada nieprzerwany deszcz, ponieważ posadził dwa tysiące akrów ziemniaków, sądząc, iż może już w tym roku skończy się wreszcie ta upiorna, wieloletnia susza. Jeszcze trzeci oczekuje mrozów, mając nadzieję na klimatyczną pomoc przy tępieniu miliardów robaczków, zżerających stopniowo hektary lasów, okalających odświeżającym pierścieniem zasyfiałe miasto.

Ale gdzie tam! Taka tępa krowa patrzy na wszystko przez swojego zasranego pudelka – żeby go pokręciło. Tym razem pójdzie jutro do kadr i wywali tę beznadzieję, tę żalospinę na zbitą mordę. Wcisnął gwałtownie pilota i wyłączył telewizor. Odsapnął głośno i ułożywszy się wygodnie, zapominał stopniowo o przyczynie zdenerwowania.

W końcu z błogim uśmiechem na nalanej twarzy, zaczął rozmyślać o przyrzeczonych dwudziestu pięciu milionach rocznie, swoim jednym procencie, co zresztą Ronson niezbitcie uwiarygodnił,

przysyłając podpisaną, notarialnie uprawomocnioną umowę. Chryste! To oznacza dwa i pół miliarda dolarów rocznie z całego przedsięwzięcia. Toż tyle co budżet NASA związany z realizacją programu Apollo. Jeśli ten Ronson nie jest stuknięty, to rzeczywiście będzie najbogatszym człowiekiem w historii Stanów. A zaraz po nim kilku wpływowych drani, takich jak Harper, uwikłanych w tę sprawę kompletnie bez udziału własnego. No ale też i wyobraził sobie horrendalne kłopoty i zagrożenia z jakimi Ronson może się spotkać.

Ho, ho. Iluż to grubych ludzi będzie się za wszelką cenę starać nie dopuścić do rozprzestrzenienia takich rzeczy. Jeżeli to oczywiście nie jest jakaś francowata, cwana sztuczka. Jezu! Ronson chyba dobrze wie co robi angażując w to przede wszystkim stacje telewizyjne i to na precyzyjnie określonych zasadach. Oczywiście – koniecznie transmisja na żywo. Jasna sprawa! Czegoś co już poszło w naród nikt nie jest w stanie odwołać, zatrzymać. Jeżeli, jak wszystko na to wskazuje, angażuje w ten interes kilka największych stacji, to tak jakby ubrał się w niezniszczalną kamizelkę kuloodporną. Żadna instytucja rządowa, wojskowa czy wywiadowcza nic mu oficjalnie nie mogą zrobić. Nic kompletnie. Będzie już własnością publiczną, osobą nietykalną, świętym. Ba! Muszą od tej chwili o niego dbać, chuchać na niego jak na jakiegoś sześciomiesięcznego zasrańca. Przynajmniej przez jakiś czas. Ale właśnie o tę chwilę wytchnienia chodzi. Tak, telewizja to potęga i on, Harper ma tu swoje ciepłe miejsce. A jeżeli Ronson nie jest idiotą, na co he, he, wygląda, wykorzysta ten czas na szybkie, nieodwracalne rozkręcenie interesu. I panowie oponenti obudzą się z rękami w przepełnionych naczynkach nocnych.

Cóż, taki jest ten idiotyczny świat i jeśli tylko nadarza się okazja do jakże ekstra zarobku, to w końcu czemu nie? Przy tym nikt nie wymaga od niego porzucenia lubianej pracy. A że gra jest nieco ryzykowna? Susan ma rację – jeszcze pięć lat i nieodwracalnie zostanę starym, zramolałym pierdołą. Cóż to

zresztą za ryzyko? Przecież codziennie ryzykuje o wiele więcej. Cornick jest co prawda jego wieloletnim kumplem, nazywa go nawet swoim przyjacielem, ale to tylko wierutne bzdury. Ostatnio dyskutowali o nowym bananowym serialu, zamówionym w MGP.

– No i co Sam? Co powiesz o tych trzech kawałkach? – pyta się Cornick leniwym tonem, patrząc przy tym na wiszący na ścianie gabinetu obraz olejny, przedstawiający jakieś koszmarnie kolorowe, pokręcone linie i słabo sprecyzowane plamy. Obraz nosi ni przypiął, ni przyłatał, pretensjonalny tytuł „Nasza Nadzieja” i wisi tutaj od lat. Podobno wielkie arcydzieło.

– Chcesz znać moje zdanie Henry? – upewnia się Harper.

– No jasne Sam. Wal! – Cornick przenosi spojrzenie na uczestniczącego w dyskusji Grossmana, szefa zakupów i zamówień.

– To jest gówno – oznajmia krótko Harper i wyciąga swoje cygaro.

– Ależ Sam, dlaczego? – Cornick otwiera szeroko oczy, lecz w dalszym ciągu nie patrzy na Harpera.

– Henry, przecież wiesz dobrze. Beznadziejna, idiotyczna fabuła. Żadnej myśli przewodniej, żadnego sensu. Nic, tylko jakieś przyjęcia, jakieś bzdurne aukcje, jakieś cholerne spotkania, kluby i drętwe rozmowy. Każdy z każdym ma problemy łóżkowe, wszystko ocieka w złoto i marmur, wokół snują się wymuskani, muskularni faceci o nijakich twarzach jak z okładek papuzich pism dla egzaltowanych feministek. Dno. Czy takim szajsem mamy ciągle karmić widownię?

– A co ty powiesz, David? – Cornick rzecz jasna przenosi rybi wzrok na Harpera.

– Cóż, w zasadzie zgadzam się z nim. Jednak Sam, musisz wziąć pod uwagę gusta publiki – odzywa się powoli Grossman, znany w

Firmie kompromisowiec, wyjątkowy facet bez jaj. Również zawołany wazelinierz i obrotny malwersant.

– Do cholery, przecież to my te gusty kształtujemy, prawda? – replikuje Harper.

– Niby tak. Ale czy chciałbyś teraz pogorszenia oglądalności? Czy mamy iść pod prąd? A poza tym mamy już umowę na realizację całości według ich ślicznego scenariusza. Tam w MGP pracują fachowcy od takich historyjek. I właśnie za to im płacimy.

– A my to niby kto?

– No...

– Sam, przyjacielu – przerywa Cornick wstając zza przedziwnie skonstruowanego biurka. Harper usiłował kiedyś przy nim usiąść, lecz nie udało mu się to mimo kilku prób. Doprowadził wtedy Cornicka do długotrwałego ataku spazmatycznego śmiechu. – Wziąłbyś jakiś urlop, czy co. Ostatnio nic ci się nie podoba, choć może rzeczywiście masz trochę racji. Ja teraz muszę wyjść, a wy panowie uzgodnijcie poglądy.

Wkłada marynarkę i jak zwykle wychodzi prawie po angielsku. Już dawno podjął decyzję i podpisał stosowne umowy, a cała ta rozmowa ma być czymś w rodzaju samouspokojenia, czy też jakąś ponurą próbą budowania obrazu demokratycznego, do rany przyłóż szefa. I jeśli nieopatrzny uczestnik takiej narady wyskoczy z czymś naprawdę zjadliwym czy wyraźnie nie po myśli Cornicka, to może się spodziewać wszystkiego najgorszego. W ramach Prawa i Zasad oczywiście. Harper nie przejmował się zbytnio tymi gierkami ale przecież jego pozycja w tych podchodach była szczególna. Chyba jednak do czasu, z czego zdawał sobie w pełni sprawę.

No cóż, zobaczymy jak się rozwinie sytuacja z Ronsonem; może uda się co nieco wyskrobać wyłącznie dla siebie, bez całościowej wiedzy tej nieskończenie pazernej, zachłannej, wiedźmowatej żony... pomyślał ostatkiem świadomości i

uśmiechnięty usnął.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”